

Pokoj kolysanek  
Natasza Socha  
fragment

Ta historia ma swoje korzenie w rzeczywistości. Wszystko zaczęło się w dwa tysiące piątym roku, kiedy David Deutchman, emerytowany nauczyciel, rozpoczął rehabilitację w jednym ze szpitali w Atlancie. Pewnego dnia, po skończonych zabiegach, zatrzymał się na oddziale dziecięcym i stanął za szybą, która oddzielała go od noworodków. Nie mógł oderwać wzroku od maluchów, aż w końcu zapytał pielęgniarkę, czy dla osoby w jego wieku nie znalazłby się w szpitalu jakiś wolontariat. Wtedy też po raz pierwszy wziął na ręce noworodka, który zanosił się płaczem i trudno było go uspokoić. Dziecko, głaskane i przytulane przez przypadkowego człowieka, zasnęło w końcu w jego ramionach. David został zatrudniony w szpitalu jako profesjonalny „przytulacz” maluchów, które z różnych powodów nie mogły wrócić do domu. I robi to nadal, nieprzerwanie od trzynastu lat...

*Pokój kolysanek* jest inspirowany tą właśnie historią.

## PROLOG

W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku, w grudniu, londyńczycy obudzili się w zupełnych ciemnościach. Mgła zmieszana z dymem, który wydobywał się z elektrowni węglowych Battersea, Bankside oraz Kingston upon Thames, ograniczyła widoczność do kilku metrów. W mieście zapanowała kompletna cisza, ludzie porzucali samochody, z czasem przestała działać komunikacja miejska, a Heathrow nie przyjmowało żadnych samolotów. Zanieczyszczenie powietrza doprowadziło do śmierci kilku tysięcy osób, a wiele innych trafiło do szpitala z ostrą niewydolnością oddechową. Lub przedwczesną akcją porodową, tak jak Ann, która z utęsknieniem czekała na swoją córeczkę. Tyle że Lou Jane miała urodzić się w lutym. Matka nie opuściła jej nawet na jeden dzień. Praktycznie zamieszkała w szpitalu, bez przerwy głaszcząc, tuląc i dotykając swoje niecałe dwa tysiące gramów miłości. Lekarze nie dawali Lou Jane większych szans, powołując się na statystki i zagrożenia, jakie na nią czekały. Nie wiedzieli, co zrobić z takim maleństwem. Nikt wtedy nie ratował wcześniaków, nie istniały oddziały neonatologiczne. Ale Ann wiedziała swoje. Nie patrzyła na dane, nie zwracała uwagi na fakt, że jednego dnia jej córeczka przybiera na wadze, by następnego wszystko stracić. Była z nią przez cały czas, ogrzewając dłońmi i tuląc kołysankami do snu.

*W sukieneczkach z pajęczynki  
tańczą kwiatki w blasku gwiazd.  
Świerszcz przygrywa im na skrzypcach,  
sen zagłąda już do gniazd.*

**Autor nieznany: *W sukieneczkach z pajęczynki.***

## ***Z albumu: Mini Mini Kołysanki***

### **Pierwszego grudnia**

Czy Bóg ma imię? – taki napis wymalowano sprejem na murze tuż obok niewielkiego sklepiku i każdy, kto go czytał, niejako podświadomie próbował odpowiedzieć sobie na to pytanie. Ale nie Joachim.

Joachim bowiem nie mógł wyjść z podziwu i wcale nie chodziło o ten napis. On patrzył trzydzieści centymetrów w bok, gdzie zaczynała się witryna sklepu. Poduszki, które leżały na wystawie, zdawały się mieć smak niczym cukierki. W takich też były kolorach. Różowe, żółte, seledynowe, czerwone, turkusowe, białe. W groszki, w kratkę, w jakieś bużki uśmiechnięte, w jednorożce i motyle. Najchętniej wszedłby na okno wystawowe i zanurzył się w tej miękkości, ale zdawał sobie sprawę, że mógłby zostać potraktowany jak szaleniec, na dodatek stary szaleniec, który stracił resztki rozumu i nurkuje w poduszkach.

Nie chcąc ryzykować utraty godności, tylko wszedł do sklepu, uklonił się i posłał uśmiech w stronę kobiety, która siedziała za ladą i chyba coś szyła.

– Nóżki doszywam – odpowiedziała na ten uśmiech, a on od razu zrozumiał.

Wszystkie poduszki były w kształcie chmurek i miały długie nogi, a niektóre nawet ręce. Miały też oczy i rzęsy i można było rozpoznać, która z nich jest kobietą, a która mężczyzną. Czy chmura w ogóle może być mężczyzną? Joachim zaśmiał się pod nosem.

Kupił dwie, ubrane świątecznie, bo przecież pierwszy grudnia to jest właśnie ten dzień, w którym zaczyna się wielkie odliczanie. Wtedy już wiadomo, że Wigilia zbliża się krokami w siedmiomilowych butach, a w powietrzu wyczuwa się charakterystyczne napięcie, będące mieszanką oczekiwania, niepewności, strachu i odrobiny melancholii. W roku dwa tysiące piętnastym Joachim miał osiemdziesiąt pięć lat i niósł z uśmiechem na twarzy dwie poduszki w sukienkach z motywem gwiazdek i reniferów. I tylko wzruszył ramionami na widok miny siostry Marii, która jak zwykle musiała okazać mu dezaprobatę i wtrącić swoje trzy grosze.

– Poduszki? A wyprane chociaż?

Joachim przygryzł górną wargę i powiedział, że wypierze je jeszcze dzisiaj, że dopiero kupił, bo w sklepie było tak pięknie i świątecznie.

– A zarazki? One nie pachną, ale to nie znaczy, że ich nie ma. Ech, całe życie trzeba tłumaczyć oczywistości. – Machnęła ręką, ale Joachim zupełnie się tym nie przejął.

Poszedł do łazienki, umył ręce, popatrzył przez moment na swoje odbicie w lustrze, a potem uśmiechnął się do siebie, bo tak naprawdę lubił tu przychodzić. Wszedł do salki z maluchami i nachylił się nad Mikołajem, który urodził się w siódmym miesiącu ciąży i który ze względu na zachłystowe zapalenie płuc musiał jeszcze przez jakiś czas pozostać w szpitalu. Na szczęście niebezpieczeństwo minęło, a Mikołaja można już było brać na ręce. Po prawie dwumiesięcznym pobycie na Oddziale Neonatologii powoli zaczynał otwierać oczy, co zawsze ogromnie cieszyło Joachima.

– Chcesz mnie w końcu zobaczyć, co, mały?

Starszy pan usiadł w fotelu, rozpiął sweter i przytulił malucha, który na ułamek sekundy spojrział w jego stronę, by po chwili ziewnąć i znowu zamknąć powieki. Zupełnie jakby szykował się do snu, kołysany opowieścią, którą Joachim miał dla niego w prezencie. Starszy pan nie zastanawiał się, o czym będzie mówił, bo przecież każda historia jest dla Mikołaja nowa, każdą

słyszysz po raz pierwszy i każdą odkłada gdzieś w zakamarkach swojego mózgu. Kto wie, może kiedyś pomoże mu ona podjąć jakąś decyzję, wtedy inni powiedzą, że miał szósty zmysł, a on sam uzna to za coś w rodzaju *déjà vu*.

– Pogadamy sobie, mój mały. O tym, co było kiedyś, o tym, co widziałem, kogo spotkałem i z kim najlepiej mi się uśmiechało.

Joachim na moment zawiesił głos.

Czym tak naprawdę są wspomnienia? Czy to dotyk pamięci, który prowadzi do zmian w połączeniach szarych komórek, przywraca obrazy? Tyle że te połączenia całe życie ulegają modyfikacji – dochodzą nowe, przegrupowują się, jedne wspomnienia przykrywają inne, a do tych z kolei doczepiają się kolejne. Nie można zatrzymać w mózgu całego życia, więc pewne ewokacje muszą ulec skasowaniu.

– Mały niczego nie zapamięta. – Wzrusza ramionami siostra Maria. – Mózg dziecka jest niestabilny, a pierwsze wspomnienia zawsze ulegają zatarciu. Nie da się do nich powrócić.

Ale Joachim wiedział swoje.

– Miała na imię Helena – zaczął i urwał niemal od razu.

Przygryzł wargi, zupełnie jakby nie chciał, aby jakieś słowo wydostało się nieopatrznie na zewnątrz. To był chyba czwarty, a może piąty raz, kiedy próbował o niej opowiedzieć i za każdym razem słowa więzły mu w gardle. Naprawdę, po tylu latach, ciągle nie potrafił o niej mówić? Przywrócić tamtych chwil, odtworzyć ich, dotknąć raz jeszcze? To nie był ani czwarty, ani piąty raz, tylko chyba setny. I znowu nie wyszło.

– Bo wszystko spieprzyłem, zupełnie jak jakiś kretyn – westchnął pod nosem.

– Nie klinij przy małym. To, że cię nie rozumie, nie znaczy jeszcze, że ci wolno – upomniała go siostra Maria, ale tylko wywrócił białkami, chcąc dać jej do zrozumienia, że znowu podsłuchuje, a to jest rozmowa prywatna. W końcu poszła, mamrocząc coś pod nosem i kręcąc głową. Była jak wietrzne dzwonki, co chwila coś nią poruszało i zmuszało do wydawania dźwięków. Pewnie gadała również przez sen.

Mikołaj spał tymczasem wtulony w jego koszulę, a Joachim nie mógł się nadziwić, jak coś tak maleńkiego, kruchego i bezbronnego może wyzwalać tak silne emocje. Zupełnie jakby przez jego stare i trochę już wyeksploatowane ciało przepływały strumienie ciepłego światła, rozgrzewając je od środka i wyciszając wszelkie dolegliwości, jakie ma każdy, komu do setki brakuje tak niewiele. Bóle stawów, bóle mięśni, bojkot ze strony kolana, które odzywało się wtedy, kiedy miało na to ochotę, nadciśnienie tętnicze, owszem, trochę opanowane lekami, ale przecież niewyleczone całkowicie. Najbardziej podobało mu się określenie, którego użył lekarz, informując go o „spadku wydajności mitochondriów”. Brzmiało to zdecydowanie ładniej niż „starzenie się mięśni” i – co za tym idzie – jakaś powolność w ruchach, której Joachim nie chciał zaakceptować. Szkoda, że człowiek starzeje się w duchu znacznie wolniej. Gdyby zachować lepsze proporcje między marszczeniem się skóry i duszy, zdecydowanie mniej bolałaby świadomość, że życie zbliża się nieuchronnie do mety. Nie zastanawiał się nigdy nad śmiercią, ale też się jej nie bał i nie pocił ze strachu, co też go czeka tam, gdzie serce już nie musi bić. Na razie było mu jednak dobrze tu, na ziemi, z tymi małuchami. Pytanie, kto komu bardziej pomagał?

– Wiesz, co mnie najbardziej przeraża? Że musiałbym cały czas leżeć – powiedział mu kiedyś inżynier Malinowski, z którym Joachim spędził jedną ze swoich licznych podróży. – Wiesz, już po śmierci.

Joachim roześmiał się wtedy i powiedział, że to absolutnie wykluczone. Że leżenie byłoby karą, a przecież nie wszyscy nagrzeszyli.

– A jeśli leżą ci, którzy pragną się ruszać, a ci leniwi z kolei biegają po nieboskłonie jak chomiki w takim metalowym kołowrotku? – niepokoił się dalej Malinowski.

Joachim był jednak przekonany, że ponieważ życie jest cykliczne i bazuje na pewnej regularności, to podobnie musi być po śmierci. Nikt nie będzie na siłę zapychał nieba – łatwiej jest odesłać ludzi na ziemię, tyle że z całkowicie wyczyszczonym dyskiem twardym. Okropnie byłoby wracać z dawnymi grzechami i żalem za tym, co się samemu zepsuło.

– Wierzysz, że mamy więcejżyć? – zdumiał się Malinowski.

– Gdyby było inaczej, zabrakłoby dla nas miejsca we wszechświecie.

– Coś w tym jest...

Joachim poklepał kolegę po ramieniu.

– Dlatego nie bój się, że będziesz leżał. Moim zdaniem szybko przyślą cię z powrotem.

Malinosiu odetchnął wtedy z prawdziwą ulgą.